

Ta historia nie jest otwartą księgą, którą moglibyśmy przeczytać i nawet kiedy spoglądamy wstecz, to prawda pozostaje przed nami zakryta. W jej całkowitym rozszyfrowaniu nie pomaga dokładna dokumentacja, naukowe badania czy statystyki, nawet relacje świadków.

Ta historia jest zamkniętą, zapieczętowaną księgą i to nie tylko w spojrzeniu na przyszłość, ale i na przeszłość.

I nikt nie jest godzien, by ją rozpieczętować. Czy naprawdę nikt..?

W naszym tekście jeden ze starszych pociesza jednak wizjonera i mówi – *nie płacz. Zwyciężył lew z pokolenia Judy, korzeń Dawidowy i może otworzyć księgę i zerwać siedem pieczęci.*

Drogi zborze!

Ludzie, którzy słuchali tych słów w tamtych czasach, wiedzieli, o kogo chodzi – chodzi o Mesjasza, Jezusa Chrystusa, który za nas cierpiał i umierał.

To w jego rękach jest Księga świata. W jego rękach jest historia, ze wszystkimi jej zawirowaniami.

Starcy mówili – *Ludzie są śmiertelni, ponieważ nie potrafią związać początku z końcem, a to, co im się nie udaje, to potrafi On, który jest początkiem i końcem, Alfa i Omega.*

W nim koniec znajduje swój początek. A jest nim zwycięstwo nad mocą śmierci.

„Księga świata” w rękach Baranka...

Drogi zborze – to jest pocieszenie, które osusza łzy wizjonera, ponieważ widzi, że wszystko, co się wydarzyło i co jeszcze nadejdzie, spoczywa w rękach Baranka.

Poznanie tej prawdy ma, drogie Siostry i Bracia, swoje konsekwencje.

Ono oznacza: nie widzieć w krzyżu Golgoty porażki, miejsca, gdzie zawiódł Bóg, ale widzieć zwycięstwo Boga nad śmiercią.

Kto poznał prawdę, ten wie – początek i koniec spotykają się, a Bóg jest i będzie wszystkim we wszystkim.

Kiedy to jednak nastąpi?

Tego Drodzy nie wiemy. A próby obliczenia tego czasu zawsze stanowiły ogromną pokusę. Dwie rzeczy są pewne. Co roku – szczególnie w czasie Adwentu – przygotowujemy się na ten dzień i szczególnie właśnie w tym czasie zdajemy sobie sprawę, że żyjemy w czasach ostatecznych.

Ta wiedza czasami pomaga i pociesza, ale może też przysparzać apatii i obojętności, gdy patrzymy na to, co nas otacza.

Rachunki, spekulacje wiodą donikąd. Dlatego wydaje mi się, że my, którzy mogliśmy zajrzeć za kulisy historii Boga z człowiekiem, mamy zupełnie inne zadania i odpowiedzialność niż obliczanie daty ponownego nadejścia Pana.

My nie mamy obliczać, ale... śpiewać.

Powinniśmy rozpocząć nową pieśń, która wiązałaby początek z końcem i wychwalała odkupienie wszystkich ludów i narodów.

Starcy, aniołowie i wszystkie postacie, które zgromadzone są wokół tronu Bożego, śpiewają pieśń pochwalną ponad wszelkim czasem i generacjami, pieśń, która także w ten adwentowy czas dociera do nas.

nać w to miasto. Tu przecież zacząłem swą pracę. Nowe radosne życie. Praca przynosiła mi pełne zadowolenie. I ta w wojsku i ta w cywilnej parafii. Praca moja znajdowała też uznanie. Były widzialne jej owoce. Zarówno w garnizonach DOK III, jak i w Korpusie Ochrony Pogranicza. Na terenie parafii zorganizowałem naukę religii, wprowadziłem wykłady biblijne. Utworzyłem Koła Opieki nad Żołnierzem Ewangelikiem w Grodnie i Wilnie. Odbudowałem starą i nową plebanię. Starą za pieniądze pożyczone, nową za wojskowe. Zamieszkałem w pięknej nowej plebanii. Wszystkie te zmiany były owocem trudu i wkładu serca. Ta przekłeta wojna wyłączyła mnie z pełni młodego i twórczego życia. Ewakuacja – czułem to dobrze – będzie pożegnaniem z Grodnem na zawsze. Tak się też stało. Wyjechałem pociągiem 14 września do Wilna. Oczywiście nocą, aby uniknąć ataków lotniczych. Udało się. Ale nad Wilnem miałem samoloty codziennie nad głową. W Wilnie poza tym nie miałem dachu nad głową. Pocziwy ks. Paweł Dilis – kolega uniwersytecki, proboszcz parafii reformowanej, przyjął mnie do swego mieszkania na kwaterę przy ul. Zawalnej 22. Gościł mnie serdecznie. Ale czułem brak swego domu. Całym moim majątkiem była teraz niewielka walizeczka z niewielką zawartością najpotrzebniejszych rzeczy. A za mną chodziło Grodno. Moja parafia, moi bracia w zielonych mundurach. A nocami nękały mnie pytania, co przyniesie jutro i dni następne. Wszystko wskazywało na to, że to mogą być dni złe. Bez ojczyzny, bez Kościoła, bez rodziny. Przynajmniej czasowo. Wierzyłem jednak, że o ostatecznym zwycięstwie zdecyduje ostatnia zwycięska bitwa. I na nią czekałem i w nią wierzyłem. Jak się okazało nie na próżno.

Była niedziela 17 września 1939 r. Nabożeństwo w kościele przy ul. Niemieckiej 9 w Wilnie odprawił ks. Loppe. Po jego zakończeniu wracaliśmy razem z księdzem na plebanię. Nagle zabiegł nam drogę jeden z parafian. Ogromnie roztrzęsiony krzyknął: radzieckie czołgi jadą na Wilno! Już są blisko! Pożegnałem się więc natychmiast z Ks. Loppe i ile sił w nogach popędziłem do sztabu DOK III. Niestety drzwi do gmachu sztabu zastałem zamknięte. Gdy na moje dobijanie je otworzono, ujrzałem cywila, który mi oświadczył: Już w nocy sztab ewakuował się przez Mejszagotę na Litwę. Z miejsca zorientowałem się, że sztab nie miał czasu mnie o ewakuacji powiadomić. Byłem ciekaw, czy ten sam los spotkał innych kapelanów. Skierowałem więc natychmiast swe kroki do siedziby duszpasterstwa katolickiego. Zastałem w nim cały skład kapelański, czyli dziekana i dwóch kapelanów. Okazało się, że sztab też o nich zapomnieli. Zaczęliśmy się zastanawiać co robić w tej sytuacji. Dziekan radził nam pójść w ślad za sztabem DOK III na Litwę. Sam zdecydował się pozostać ze względu na swój wiek na miejscu. Więc ruszyliśmy w pościg za sztabem. Gdy opuszczaliśmy Wilno, była godzina 16-ta. Siąpił drobny deszcz i zaczęło szarzeć. Prawie w całym mieście paliły się już lampy uliczne. Po drodze włączyliśmy się w nurt maszerujących przez Mejszagotę oddziałów policyjnych, różnych drobnych grup żołnierzy i pewnej liczby cywilów. Droga była pagórkowata. Gdy wchodziliśmy na ich szczyty, widzieliśmy tonące w świetle miasto. Gdy schodziliśmy w dół, miasto znikało z pola naszego widzenia. Z miastem mieliśmy też łączność inną. W odstępach chyba godzinnych rozlegało się w nim swym hukiem pojedyncze działo. Chyba w ten sposób działało informowało maszerujące oddziały, że miasto jest jeszcze wolne. Może po dwóch godzinach marszu dopędził nas wojskowy motocykl z przyczepą, z którego żandarm donośnym głosem przekazywał nam rozkaz komendanta garnizonu: wracać do kwater! Motocykl pojechał do przodu, a myśmy zatrzymali się na chwilę, aby zdecydować, co dalej robić. Postanowiliśmy po namyśle maszerować dalej na Mejszagotę. Może po godzinie marszu zatrzymał nas posterunek wojskowy. Przy świetle latarek elektrycznych okazywaliśmy legitymacje kapelańskie. Major, który nas legitymował, radził nam wracać do Wilna. Dwóch z nas zawróciło, jeden poszedł dalej. Maszerowaliśmy do Wilna, co sił w nogach. Chcieliśmy osiągnąć miasto przed wkroczeniem do niego wojsk sowieckich. Niestety nie zdążyliśmy. Najpierw musieliśmy pokonać most Zielony, który był zabarykadowany. Gdy dobiegliśmy do ul. Mickiewicza, w mieście już toczyły się potyczki. Słychać było strzały dział i karabinów maszynowych. Ulicami jechały czołgi i półciężarówki z sowieckimi żołnierzami, trzymającymi broń gotową do strzału.

Ciąg dalszy nastąpi...